



Wesołych Świąt!

Sr. Wulf 85

Przezacnym Czytelnikom
 POWŚCIĄGLIWOŚCI I PRACY
 Przyjacielom i Dobrodziejom
 Zakładu Wychowawczego dla sierot
 w Miejscu Piastowem
 składamy najserdeczniejsze życzenia

Wesołych Świąt

i
Szczęśliwego Nowego Roku

oby te najcenniejsze dary Boże, pokój i mi-
 łość zapanowały we wszystkich sercach na
 całej ziemi polskiej.

DZIECI MARJI.

*U stóp twych kłonię nasze młode czoła,
serca Ci nasze składamy w ofierze,
słuchaj ich drgnienia — każde serce woła:
służyć Ci w życiu pragnę, Marjo, szczerze,
boś Ty najczystsza, przez Boga wybrana —
Niepokalana!*

*Oto nad nami sztandar się rozwija
jako anielskie skrzydła — śnieżnobiały,
na nim widnieje Paniątka Marja;
pełna słodyczy i niebiańskiej chwały —
za Matkę naszą przez Boga nam dana —
Niepokalana!*

*Z Twojem imieniem pójdziemy przez życie,
choćby po drodze były głóg i ciernie,
pójdziem radośnie, w szczęściu i zachwycie,
służyć ci zawsze, Panno, będziem wiernie,
zawsze przed Tobą ugniemy kolana —
Niepokalana!*

*A ty nam, Pani, w tej wędrówce życia
błogostaw zawsze i wypraszać łaski,
by serce nasze nie znało rozbicia,
by duch się stroił w coraz nowe blaski —
myśmy Twe dzieci, trzódka Twa wybrana —
Niepokalana!*

*Niechaj Twa postać cel nam przypomina,
niech nam wskazuje Boże ideały —
oto żyć chcemy dla Twojego Syna
i dla Twej, Marjo, pracować wciąż chwały,
Panno najświętsza, Matko ukochana —
Niepokalana!*

Niektóre zwyczaje na Boże Narodzenie w Polsce i u obcych.

Najmilszymi spomiędzy wszystkich świąt roku i najradośniejszymi dla każdego z nas są Święta Bożego Narodzenia. Święta pojednania, pokoju, miłości i zgody. Obchodzone w cichem kółku rodziny, opromienione w dzieciństwie uśmiechem matki, podkreślone tyłu różnemi uroczystościami i tradycyjnemi zwyczajami pozostawiają po sobie w duszy człowieka i na dalsze lata życia niezatarte wspomnienia. Te czarowne chwile dzieciństwa pełne ciepła i pieczyt rodzicielskich wypuklają się w pamięci każdego najsilniej na tle tych przemiłych świąt, poświęconych Bogu-Dziecięciu, a które może dlatego się stały prawdziwemi świętami dzieci. Boskie Dziecię się narodziło wśród prostego i ubogiego ludu, toteż ten lud podobnie jak dzieci w prosty i niewybierany sposób przejawia swą wielką radość nad przyjściem Tego, dla którego pokora największą cnotą a ubóstwo tronem. Lud niejako wyłącznie dla siebie zagarnął święta Narodzenia Chrystusa — Gody — i upiększył je rozlicznemi zwyczajami i wierzeniami swojemi, z których większość sięga zamierzchłych czasów przyjęcia wiary chrześcijańskiej, albo i dawniejszych.

Zanim przystąpimy do omówienia ludowych zwyczajów, związanych z Bożem Narodzeniem i ich pochodzenia, musimy wspomnieć o samych tych świętach a zwłaszcza o ich początkach. Pamiątkę Narodzin Chrystusa nie święcono w początkach chrześcijaństwa uroczystie. Pierwsze wzmianki o tem święcie pochodzą z II w. po Chr. z Antjochji, gdzie się odbywały obrzędy Bożego Narodzenia w formie uroczystej.

Jako święto kościelne zaprowadził je tam w 138 r. biskup Telesfor. Ale było to spoczątku święto ruchome, obchodzone w grudniu, lutym a nawet w maju. Dopiero z inicjatywy jerozolimskiego biskupa Cyryla papież Juljusz I. zwołał w IV w. doktorów kościoła wschodniego i zachodniego, którzy uchwalili słać pamiątkę Narodzenia Chrystusa na dzień 25 grudnia.

Ludy pogańskie obchodziły w tymże czasie narodziny słońca czyli zrównanie dnia z nocą — Rzymianie, swoje Saturnalie, a Słowianie święto Koladu albo Kuładu, bożka ładu i zgody. Północne ludy, między niemi i Słowianie święciły zaślubiny Wodana z Frigą, bóstw opiekuńczych żywności i urodzajności pól i pożycia małżeńskiego. Były wyprawiane wielkie uroczystości w te święta. W świętym gaju zapalano wielki ogień, koło którego urządzano święte tańce, śpiewy, składano na cześć bóstw opiekuńczych ofiary z płodów ziemi, zwierzyny, ryb, miodu i t. d., błagając aby bóstwa te z nowem słońcem obdarzyły kraj urodzajem i hojnością wszystkiego. W czasie tych świąt ustawała każda wojna, było to bowiem święto pokoju i miłości. U niektórych Słowian były zawierane

w czasie tego święta związki małżeńskie i przymierza. Po modłach i obrzędach następowały wielkie uczty, Słowianie między Wisłą a Bugiem czcili te uroczystości jako święto duchów, Druidzi znów wierzyli, że w tę noc duchy zmarłych od przeszłorocznej nocy błędzące, wstępują do krainy duchów. Stąd widać, że święto zrównania dnia z nocą, a zwłaszcza ta noc była dla wszystkich ludów wielkiego znaczenia. Germanie ją nazywali „Święta noc“, ludy anglosaskie „Matka nocy“.

Do tych swoich uroczystości wspomniane ludy były bardzo przywiązane i trudnoby im było się z nimi rozstać; toteż po przyjęciu chrześcijaństwa przez te ludy, kiedy w tym samym czasie przypadało Boże Narodzenie, ci nowi chrześcijanie zachowali wiele z tych dawnych swoich zwyczajów. Kościół zaś widząc, że zwyczaje te miały podniosły charakter, bo wyrażały uczucie wdzięczności, miłości, a przejawiała się w nich radość ogólna, nie odrzucił ich ale uszlachetnił i napełnił nową treścią. Od tego czasu Boże Narodzenie ma charakter święta ludowo-kościelnego, a dzięki tym rozlicznym zwyczajom ludowym i wierzeniom zachowało sobie swój specjalny urok i przedziwny, miły powab. Podniosły i radosny nastrój tak przecież pasuje do święcenia pamiątki tego tak doniosłego zdarzenia w dziejach całej ludzkości, kiedy po tylu tysiącach lat oczekiwany Zbawiciel świata się narodził, by świat ten odkupić.

W wiekach średnich po całym świecie katolickim w noc wigilijną po pierwszej mszy św. w kościołach urządzano misterja Bożego Narodzenia: występował chór pasterzy przed żłóbkkiem betlejemskim ze śpiewami, muzyką, chóry aniołów otaczały małego Chrystusa, Matkę Boską i św. Józefa. Później dopełniano te gry innemi jeszcze postaciami nawet bardzo komicznemi dla ubawienia wiernych, ale gdy te gry straciły czasem poważny charakter a nawet w niektórych krajach jak np. w Hiszpanji przeszły w błazeństwa, Kościół je usunął ze świątyni. Utrzymały się one do dzisiaj w niektórych krajach, ale w zmienionej formie już poza Kościołem. U nas np. jako jasełka historyczne i szopka krakowska o zabarwieniu narodowem. Tego samego zapewne pochodzenia co jasełka są nasze pastorałki i zbiory kantyczek. Pastorałki są to kolendy opiewające w humorystycznej i prostej formie często językiem ludowym różne epizody z życia pasterzy betlejemskich w noc narodzenia Chrystusa, więc ich różne kłopoty życiowe, zjawienie się aniołów a później hołd pasterzy małemu Chrystusowi i składanie darów. Owszem, że ci betlejemscy pasterze w pastorałkach mają też polskie imiona: Wojtków, Maćków, Kubów, i t. d. Dawniej jak już wspomniałem te wesołe kolendy-pastorałki śpiewał lud po kościołach, dzisiaj się je śpiewa już tylko po domach w noc wigilijną i w ciągu świąt. Nazwa „kolenda” ma więcej znaczeń — oznacza pieśni i chodzenie po kolendzie. Po kolendzie chodzi w okresie Bożego Narodzenia każdy proboszcz do swoich parafjan, wstępując do każdego domu, błogosławi go i jego mieszkańców, zato bywa obdarowywany —

gdzie jaki jest zwyczaj — dawniej miską zboża, albo grochu, wiązką lnu i t. d., obecnie już częściej małą ofiarą pieniężną. Ma to być ofiara Bogu na uproszenie błogosławieństwa dla domu całego i mieszkańców. Po kolędzie chodzą również chłopcy z szopką albo gwiazdą. Wyraz kolędy, kolęda jest bezsprzecznie pochodzenia starosłowiańskiego. Pochodzi najprawdopodobniej od wspomnianego święta koladu, czy kuładu. Wyraz ten znajdujemy u innych Słowian np. u Czechów „koleda“.

Najbogatszym w zwyczaje, wierzenia i wróżby różnego rodzaju jest dzień wigilijny. W każdej części Polski są odrębne zwyczaje. Trudnoby było je wszystkie wyliczyć, więc ograniczymy się do niektórych tylko.

Głównymi atrakcjami polskiej wigiliji jest wspólna wieczerza dla wszystkich domowników, wliczając w to w zamożniejszych domach i służbę, dalej opłatek i drzewko, choinka. Lud wierzy, że jak przeżywa dzień wigilijny, tak będzie żył w całym roku. Cały dzień schodzi na pilnej pracy i krętaninie a wieczór, gdy zabyśnie pierwsza gwiazda, zasiada cała rodzina do wieczerzy. Stół jest pięknie zaścielony obrusem, pod którym jest rozłożone siano i trochę zboża, albo tylko różnego rodzaju ziarno. W niektórych okolicach do czterech rogów izby wiejskiej ustawiają po snopie różnego zboża, a podłogę wyściela się słomą albo sianem. To na pamiątkę narodzin Chrystusa na sianie w stajence. W tę noc się śpi na podłodze. Na Mazowszu i w Krakowskiem stół wigilijny obwiązują słomianem powrósem, aby przez cały rok chleb się go trzymał. Podarunki się kładzie do siana pod obrus, albo umieszcza w jednym z czterech snopów, na którym się potem powróśło musi przeciąć jednym cięciem.

Potrawy wigilijne muszą być w liczbie nieparzystej i postne. Liczba osób u stołu ma być parzysta. Gdzieniegdzie stawia się o jedno nakrycie więcej dla gościa, dla nieobecnej osoby, albo dla zmarłej. Dla zmarłych najczęściej stawia się potrawy i napoje pod stołem. Przed wieczerzą albo w ciągu niej gospodarz łamie się ze wszystkimi opłatkiem — symbolem pojednania, przymierza, i wszyscy nawzajem składają sobie życzenia. Łamanie opłatkiem ma też znaczyć, że gotowi jesteśmy z bliźnim podzielić się i tym najmniejszym kawałkiem chleba. Inne narody opłatka nie znają. Polacy za granicą urządzają każdorocznie wspólny opłatek w któryś wieczór. Jest to rozrzewniający widok, w taki wieczór siedzi biedny robotnik razem z inteligentem, bogacz z nędzarzem. Tem się podkreśla przynależność do jednej wielkiej polskiej rodziny. O chorych a nawet o więźniach się wtedy nie zapomina i posyła się im podarki. Ale wróćmy pod chłopską strzechę w Polsce. Gospodarz po łamaniu się opłatkiem wsuwa jeden pod misę, bierze łyżkę grochu i rzuca albo do powały albo na cztery strony. W niektórych okolicach wymawia przy tem słowa: „naści wilku grochu, co byś nom tu szkody nie robił”. Ma to być jakieś zażegnanie złego. Po każdej potrawie zagląda pod misę, czy się do niej opłatek przylepił. Gdy się przylepi, znaczy urodzaj na tę potrawę. Na urodzaj

zboża wróżą tak, że słomę pociętą na kawałki albo zwykłą rzucają garściami do powały. Gdy się jej dużo uczepi, będzie urodzaj na zboże. Słomą z izby obwiązują też drzewa owocowe, aby lepiej rodziły, przytem każdem mocno potrzęsą. Rozrzucają ją po roli, ścielą pod drób i t. d., co ma zapewnić dobrobyt. Lud wierzy, że bydło a nawet martwa przyroda o północy wszystko czuje i rozumie, bydło rozmawia i t. p. Chcąc się dowiedzieć, jaka będzie pogoda w nowym roku, krają sześć cebul na równe połówki, wydrążają je i ustawiają rzędem, jako miesiące i sypią po troszce soli do każdej. W których znajdzie się wilgoć, w te miesiące będzie deszcz. Dziewczęta z opłatków lepią kołyskę i wieszają na belce u sufitu na cały rok. W innych stronach zaś ubierają podczas śpiewów wierzchołek świerczka, sosny albo gałązkę tylko w świecidełka, kwiaty i też wieszają u powały. To się nazywa „sad” i to dawniej zastępowało w Polsce drzewko. Dzisiejsze drzewko jest pochodzenia niemieckiego albo wogóle germańskiego. Resztki potraw wigilijnych i okruszyny skrzętnie się zbiera i, dołączwszy drobne kawałki opłatka, znosi bydłu. To czyni sam gospodarz. Po wieczerzy cała rodzina zabawia się i śpiewa kolendy, oczekując pasterki.

W dzień Bożego Narodzenia każdy kapłan odprawia trzy msze św. Ten zwyczaj pochodzi z Rzymu. Po północnej Mszy św. w niektórych stronach jest zwyczaj grania na rogach pasterskich, strzelania z batów, palenia ogni sztucznych i t. p. To na pamiątkę, że P. Jezus przyjmował hołd pasterzy.

Jest jeszcze wiele ładnych zwyczajów u ludu w Polsce z okazji Bożego Narodzenia, ale niepodobna to wszystko wspominać. Te wszystkie zwyczaje i wierzenia czynią polskie Boże Narodzenie jakimś odrębnem od tych świąt u innych narodów i dają im tak miły i swojski charakter. I choć niektóre zwyczaje są nawet trochę niedorzeczne, nie należy ich zarzucać i zatracać, bo to jest spuścizna po przodkach naszych a tę musimy szanować i uchować przyszłym pokoleniom.

Inne narody nie mają ani części takich zwyczajów, jak my Polacy. To też Polak podczas tych świąt wśród obcych nie czuje się dobrze. Brakuje mu tego miłego i podniosłego nastroju. Ładny zwyczaj utrzymał się we Włoszech, gdzie przed żłobkiem Boskiego Dzieciątka w kościele małe dzieci deklamują piękne wierszyki, dziękując mu zato, że przyszło na ten świat, by go zbawić i ludzi uszczęśliwić. Podobnie pięknym obrzędem jest w południowej Francji święcenie ognia. W wieczór wigilijny w wiejskiej izbie stawiają bogato zastawiony stół, przybrany liśćmi warzynowemi i gałązką oliwną, którą przechowują z roku na rok, przed kominek, na którym płonie suty ogień. Najmłodsze dziecko klęka przed ogień i za kimś ze starszych powtarza modlitwę, w której prosi ogień, aby przez całą zimę ogrzewał skostniałe członki biednych sierotek, starców i kalek, aby dawał światło i ciepło nędznym poddaszom, ale aby oszczędzał spichlerze i okręty błędzące po morzach i nie czynił innej szkody.

Potem wylewa szklankę gotowanego wina do ognia i wszyscy zasiadają do wieczerzy, która nie jest postna.

Godnym uwagi zwyczajem na Zachodzie jest jeszcze stawianie na placach wielkich miast olbrzymich drzew pięknie przybranych i cudownie oświetlonych z wielką gwiazdą na wierzchołku. Pod to „drzewko” całe miasto składa dary różnego rodzaju dla swoich ubogich, które się im poleca, rozdziela.

Wszystkie te zwyczaje na Boże Narodzenie są bardzo piękne i podniosłe, wszystkie mają jeden wspólny cel podnieść i uświetnić tę radosną chwilę przyjścia na świat Zbawiciela, ale najlepszym sposobem uczczenia Go jest spełnić Jego wolę przez wyzucie się z grzechów naszych i odrodzenie się duchowe w Nim. Obyśmy tylko o tem zawsze pamiętali.

M. C.

Z naszej wsi...

(KAP). Od pewnego czasu mnożą się objawy propagandy antyreligijnej na wsi. Oto np. »Centralny Związek Młodej Wsi«, w skład którego wchodzi »Związki Młodzieży Wiejskiej«, wydaje czasopismo p. t. »Przewodnik Wiejski«, poświęcony sprawom ruchu młodowiejskiego. O charakterze i kierunku tego pisma (popieranego przez czynniki urzędowe) możemy się dowiedzieć, przytaczając choćby następujące zawarte w nim zdania:

»Wszelkiego rodzaju kołtuństwo i chamstwo duchowe, to kłody porzucane po drodze do kultury« — te słowa zestawia czasopismo ze wzmianką o Katol. Stowarzyszeniach Mężów. Uniwersytety Ludowe mają stać się przeciwdziałaniem »Osławionej Akcji Katolickiej, za którą ukrywa się obóz zaco-fania społecznego i wstecznictwa duchowego, oraz moralnego«.

Oczywiście, przytaczając tego rodzaju dość brutalne napaści na Kościół, nie przeceniamy bynajmniej znaczenia tej propagandy. Ale chcemy podkreślić podłoże psychiczne, na którym ta agitacja dziś na wsi wyrasta.

Nie trzeba zapominać, że głośna już dziś nędza wsi może sprzyjać robotniczej wywrotowej. Na 3,262.000 gospodarstw rolnych w Polsce prawie połowę stanowią gospodarstwa, które liczą zaledwie do 3 h.

Pod wpływem nędzy chłop staje się nieufny. Hasło »frontem do wsi«, które przez pewien czas rozbrzmiewało w Polsce, jak wiele innych hasel, nie doprowadziło do żadnych pozytywnych rezultatów. Występują dziś dwa objawy niebezpieczeństwa w psychice mas chłopskich — z jednej strony apatia i drętwota, a z drugiej prądy wywrotowe.

A jednak trzeba pamiętać, że przyszłość wsi naszej — to w wielkim stopniu przyszłość Polski. Ostatni rocznik statystyczny podaje, że ludność Polski wynosi 33 miliony. W tej liczbie zatrudnionych w rolnictwie jest 72% a 28% czynnych jest w miastach. To znaczy — że w Polsce jest 23 miliony mieszkańców wsi, a tylko 10 milionów w miastach.

Kto ma urabiać dusze tych mas, kto może mieć do nich dostęp, kto zrozumie ich troski i nadzieje? Czy dwór? Otóż — jak stwierdził to już je-

den z przedstawicieli naszego ziemiaństwa i znawca stosunków na wsi, ziemiaństwo w ostatnich czasach nie zdołało przeorać skiby, któraby Jan dworski złączyła z zagonem wieśniaka (Prof. T. Łubiński »Niefuność chłopów wobec inteligencji«).

Czy więc może inteligenci z pobliskich miast i miasteczek? Ale tu stanęła na przeszkodzie demagogja i obłudza, gdy całe masy inteligencji zaczęto używać jako agitatorów politycznych, starających się zjednać chłopów dla ideologii różnych zwalczających się partyj.

Pozostaje więc tylko wpływ Kościoła — gdy lud styka się ze swym pasterzem na terenie głębszym niż wszelkie przemijające programy polityczne — bo na terenie wiecznotrwałych zagadnień sumienia i duszy ludzkiej. I tu chłop może podejść do kapłana ze swą krzywdą i bólem, może wypowiedzieć swe troski i zasięgnąć rady.

Dlatego Kościół i Akcja Katolicka może dziś spełnić swą zbawienną misję na wsi. Stojąc zdaleka od chwilowych rozgrywek politycznych, idąc drogą szczerą i pełną powagi — może podnieść na duchu upadającego pod brzemieniem czasów człowieka wsi.

Czy ludzie miast, którzy robią u nas tak zw. »wielką politykę« antykościelną, zdają sobie sprawę z tego, że każdy cios choćby ukryty, wymierzony przeciwko Kościołowi katolickiemu stanowi dziś równocześnie akcję wywrotową, podrywającą równowagę duchową tych 23 milionów istot ludzkich zaludniających Polskę na wsi, tych istot, od których tężyzny moralnej zależy przedewszystkiem przyszłość naszego narodu i państwa?

W czyich rękach znajduje się rząd dusz nad młodem pokoleniem?

(KAP) Jest to dla przyszłości Polski b. ważne pytanie. Zestawiając obiektywnie fakty, dostrzegamy, że już dziś w Polsce prace katolickich stowarzyszeń młodzieży przewyższają znacznie winiki działań innych zrzeszeń młodzieży. Sprawozdanie za rok 1934 wskazuje na silny wzrost całej pracy organizacyjnej Katolickich Stowarzyszeń młodzieży. Członków czynnych miały te stowarzyszenia 280 113 (w r. 1933 było 250.724), z czego chłopów 129.039 a dziewcząt 151.074.

A więc przeszło ćwierć miliona zorganizowanych młodych katolików mamy w Polsce. A więc Akcja Katolicka już obecnie potrafiła skupić pod swemi sztandarami największą ilość naszej młodzieży — gdyż wszystkie inne organizacje z przeciwnego obozu, od „młodo-legionowych“ aż do „turowców“ socjalistycznych, stanowią stosunkowo nieliczne grupy.

Dwieście osiemdziesiąt tysięcy młodzieży zorganizowanej, to cyfra potężna, ale nie należy przeceniać jej znaczenia, gdyż na kilka milionów młodzieży, która pokończyła szkoły, jest to stanowczo za mało. Miałoby się jednak oznaki, które wskazują, że młodzież w Polsce coraz więcej garnie się pod sztandary katolickie.

Ostatnio np. powodu rocznicy pamiętnej obrony Lwowa w początkach bieżącego miesiąca obradował przez parę dni XII zjazd Związku Polskich Korporacji Akademickich. Pomijając polityczne uchwały tego zjazdu (nie zamierzamy bowiem roztrząsać tu problemów politycznych), musimy stwier-

dział, że znamieną była postawa tego Zjazdu Akademickiego wobec religii i Kościoła. A więc rozpoczęcie obrad poprzedziła Msza św.; w nabożeństwie wzięły udział poczty sztandarowe wszystkich korporacyj. Ogółem w zjeździe wzięło udział 56 korporacyj.

A co najciekawsze, że na zakończenie Zjazdu uchwalono, iż korporanci polscy przystąpią do budowy kościoła rzymsko-katolickiego w województwie lwowskim... Miejscowość zostanie wyznaczona w porozumieniu z Kurją Metropolitalną rzymsko-katolicką we Lwowie.

A jakie są wyniki praktyczne tego życia organizacyjnego młodzieży katolickiej? Jakie walory ta młodzież posiada np. w sensie państwowym? Otóż, jak stwierdził niedawno niezależny organ młodej inteligencji „Bunt Młodych“ (Nr. 12 r. 1935): „Wielu spośród dowódców pułków stwierdza, że najlepszy element do wojska przychodzi właśnie z Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży... Są to więc zdrowe, tęgie charaktery, na których można będzie budować z pewnem zaufaniem i przeświadczeniem, że fundament wytrzyma... Jest to tem bardziej godne podkreślenia, że dotychczas obóz rządzący nie rozwiązał w korzystny dla siebie sposób zagadnienia młodzieży“.

A więc fakty wykazują, że rząd dusz nad największą ilością młodzieży w Polsce sprawuje sumienie katolickie. A stąd wniosek, że każdy rząd, który chce przyszłość lepszą nam budować, musi oprzeć się na katolickich elementach.

Jak Paderewski zaczynał karierę.

Za mało wiemy o największym artyście świata.

Największy to pianista świata, jeden z największych muzyków, jakich wydała Polska. A tymczasem właśnie my mało wiemy o życiu Ignacego Paderewskiego. Do tego stopnia, że pierwsza książka, całkowicie poświęcona Paderewskiemu, ukazuje się po angielsku.

Jest to wie romancee wielkiego pianisty, ujęte w ramy trzech części. Pierwsza z nich nosi tytuł: Muzyk; druga — Mąż stanu; trzecia: Wielki człowiek. Całość zaś pozatem, że daje sylwetkę Paderewskiego i jako pianisty i jako polityka, zawiera moc szczegółów biograficznych i drobnych anegdot, które właśnie tworzą w książce to, co nazywamy żywym portretem.

Oto kartka pierwsza lepsza, wyrwana na chybi trafi — kartka z młodości Paderewskiego.

12-letni uczeń konserwatorjum.

W 1872 r. przywozi do Warszawy 12-letniego synka p. Jan Paderewski. — Warszawa ma wówczas kilku wybitnych pedagogów muzycznych. Pierwszym nauczycielem Paderewskiego jest Śliwiński, potem Rudolf Strebl i Janota. Teorji uczy Paderewskiego Roguski, uczeń Berloza. Dzięki przyjaźni rodziny Kerntopfów, właścicieli znanej fabryki fortepianów, Paderewski zaczyna bywać w operze i na koncertach.

Dzięki temu wsłuchuje się w dźwięk instrumentów, jego horyzont muzyczny rozszerza się poza muzyką fortepianową. Dodajmy, że Paderewski w orkiestrze szkolnej grał na trąbie.

Po paru latach 16-letniemu Paderewskiemu zaczyna ciążyć rutyna konserwatorjum. Marzy o wyjeździe do Rosji, o wielkich koncertach. Razem z młodym skrzypkiem Ignacym Cielewiczem rusza na artystyczną wyprawę.

W ciągu roku obaj młodzieńcy koczują od jednego miasta do drugiego, z jednej odrapanej prowincjonalnej salki do drugiej. Nieraz za braknie na obiad, zarobki są gorzej, niż mierne, ale podróż jest wspólną szkołą obycia z estradą i z publicznością.

18-letni profesor i miłość.

Jeszcze dwa lata studjów i Paderewski zdaje egzaminy. — Zostaje profesorem fortepianu w tem samym warszawskim konserwatorjum, w którym się uczył. Wtedy przychodzi pierwsza miłość. Paderewski zakochał się w młodej uczennicy konserwatorjum, Antoninie Korsak. Mając 20 lat, żeni się. Niestety, młodziutka żona w rok później umiera, wydając na świat syna. 21-letni muzyk jest wdowcem i ojcem. — Ten cios czyni Paderewskiego mężczyzną. Marzy teraz już nie o zdobywaniu oklasków w salach koncertowych, ale o twórczości. Pragnie komponować.

W roku 1881 uzyskuje w konserwatorjum roczny urlop i wyjeżdża na dalsze studia zagranicę.

W Wiedniu Paderewski usilnie pracuje, ażeby skorzystać jaknajwięcej w centrum ruchu muzycznego. Profesorem Paderewskiego jest Leszetycki, najślawniejszy wtedy z profesorów pianistów.

Spotkanie z Modrzejewską.

Wakacje spędza Paderewski w domu Heleny Modrzejewskiej, w Strassburgu. Słynna artystka dramatyczna wierzy w jego przyszłość. W 1886 r. Modrzejewska określiła 26-letniego podówczas artystę, jako „człowieka wielkiej kultury, obdarzonego błyskotliwym, często gryzącym dowcipem, czułego na wszystko, co miało związek z kręgiem jego zainteresowań, znającego i rozumiejącego świat”. Na zdobycie tego świata wyrusza już niedługo.

Oto pierwszy koncert w Paryżu. Na koncercie zebrały się damy z francuskiej arystokracji, poważni krytycy, są obaj kapelmistrze Colonne i Lamoureux, których koncerty salonowe są atrakcją muzycznego życia Paryża.

Zdobycie stolicy świata.

A teraz oddajemy głos autorowi książki o Paderewskim. — Landau pisze o jego pierwszym koncercie w Paryżu:

»Czy rzeczywiście wygląda tak romantycznie, jak pisały wczorajsze gazety? Niestety połowa kinkietów gazowych pozostała niezapalona i panuje niepewny półmrok. Koryfeusze sztuki, lub pragnący za takich uchodzić, ludzie, którzy zawsze wszystko wiedzą, napomykają, że młody polski pianista żądał przyćmienia światła, bo tylko w półmroku potrafi się

skoncentrować. Ten i ów się oburza — co za absurd! Co za poza! Ogólne zainteresowanie wzmagają się. Nagle ukazują się na estradzie dziwna postać i zmierza do fortepianu nakształt jakiegoś egzotycznego ptaka z różowym czubkiem.

Co za ognista grzywa włosów o rzadko spotykanym odcieniu, ni to złocistym, ni to rudo-czerwonym! Ale ruda czerwień tej czupryny nie czyni przykrego wrażenia na przewrażliwionych damach z pierwszych rzędów, nie razi ich wyrobionego smaku. Ekcentryczna lwia grzywa zdaje się dawać przedsmak całego piękna, które wypływa spod palców pianisty“.

Monsieur Paderewski zaczął grać. I jakież jest wrażenie wytworzonej, pełnej rezerwy i spokoju, chłodnej publiczności?

To genjusz!

„Większość słuchaczy nie słyszała jeszcze tak wstrząsającej muzyki. Starsi wspominają Liszta i Rubinsteina, młodszy nadaremnie szukają, z kim mogliby Paderewskiego porównać. Są chwile, kiedy fortepian rozbrzmiewa, jak cała orkiestra, i tony zdają się napływać z różnych miejsc sali“.

A po koncercie Paderewskiego, po całym Paryżu krąży powieść: „To genjusz, grający również na fortepianie“.

(WER)

Ks. S. A. ICIEK.

Samochoodem przez Stany Zjednoczone.

(Ciąg dalszy)

Rano zwiedziłem malowniczy wąwóz i czempredzej ruszam w dalszą drogę — do Pensylwanji, która tu graniczy ze stanem New Jersey.

Stan swą nazwę wywodzi od jednego z wybitnych pionierów tej okolicy, kwakra Wiljama Penna. Pierwszymi osadnikami byli Szwedzi. Opanowali ich Holendrzy, nareszcie przyszli Anglicy pod wodzą Wiljama Penna. Popłynął on w górę rzeki Delaware w roku 1682 i zawarł traktaty z białymi osadnikami oraz zamieszkałymi tu Indjanami.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje fakt, że Wiljam Penn, w przeciwieństwie do innych kolonistów, skrupulatnie zachowywał wszelkie umowy zawarte z Indjanami. Dlatego osadnicy przez długie lata żyli w przykładowej zgodzie z czerwonoskórymi tubylcami.

Ponieważ cały kraj był pokryty dziewiczymi lasami, przepełnionymi zwierzyną, więc też skombinowano łacińską nazwę lasu — „silva“, z nazwiskiem tego religijnego pioniera, Penna i nazwano ten bogaty stan — Pensylwanją.

Obejmuje on przeszło czterdzieści pięć tysięcy mil kwadratowych.

Według ostatniego spisu, zamieszkuje tu blisko dziesięć milionów ludzi. Nazywają go „Keystone“ i słynie jako stan węgla i stali. Znajdują się w nim olbrzymie pokłady twardego i miękkiego węgla.

W Pensylwanji żyje paręset tysięcy Polaków. Podzieleni są na trzy olbrzymie grupy. Kilkadziesiąt tysięcy osiedliło się we Filadelfji i okolicznych miastach, może ze sto lub więcej tysięcy pracuje w zagłębiu węglowym Scrantonu, a reszta jest w okolicy Pittsburga i w sąsiednich miastach oddanych przemysłowi stalowemu.

Niecałe pięćdziesiąt mil od rzeki Delaware, tworzącej wschodnią granicę Stanu, rozpoczyna się zagłębie twardego węgla. Dolina ciągnie się dwudziesto milowym pasem od Wilkes Barre do Scranton. Tu kopią węgiel twardy, używany do ogrzewania mieszkań, gdyż nie daje tyle sadzy, co węgiel miękki i dlatego jest też znacznie droższy.

Do Wilkes Barre prowadzi wspaniała droga t. zw. „Sullivan Trail“. Tędy właśnie, podczas wojny o niepodległość, jeden z generałów Waszyngtona z kilkoma tysiącami żołnierzy prowadził wyprawę przeciwko wojowniczym plemionom Indjan. Ci bowiem wraz z Anglikami mordowali kolonistów i zagrażali tyłom wojsk amerykańskich. Przy drodze, tu i ówdzie, widać kamienne pomniki z brązowymi tablicami, przypominające trudy i ostateczne zwycięstwo ekspedycji.

Generał Sullivan w tej wyprawie karnej przeciw „pięciu nacjom indyjskim“, noszącym ogólną nazwę Iroquois, ludność całą zmasakrował, włączając w to kobiety i dzieci. Czterdzieści wiosek indjańskich spalił. Paręset tysięcy korcy zboża i owoców skonfiskował i raz na zawsze złamał ich potęgę, i przyczynił się wielce do ostatecznego zwycięstwa nad Anglikami i ich sojusznikami.

Walki odbyły się w środkowo-południowej części stanu Nowego Jorku, w okolicy miasta Elmiry. Gdy przyszło do walnej rozprawy, z jednej strony stanęli do boju w pióra ubrani, na czerwono glinką pomalowani Indjanie, uzbrojeni w toporki i łuki. Z drugiej strony, z lasów wysunęła się piechota zbrojna w karabiny i armaty. Gdy dali salwę z armat, naładowanych kartaczami, Indjanie na takie „dictum acerbum“ zwiali, niby kamfóra bez pieprzu. Zwycięzcy obładowani łupem wrócili do obozu koło Filadelfji.

Zbyttno odbiegłem od tematu podróży. Wracam na tę wspaniałą drogę z betonu. Spuszczam się długą serpentyną wdół ku miastu Wilkes Barre. Oczom przedstawia się miły widok. Na zboczach wzgórz ścielą się liczne domki i małe osady górnicze, „patche“ zwane. Wśród nich sterczą szyby i zabudowania kopalń. Olbrzymie nasypy czarnego węgla świadczą o mrowczej pracy naszych polskich górników. Tu i ówdzie strzelają ku niebu wieże kościelne z połączeniami krzyżami. Widać, że to lud nietylko pracowity ale bogobojny. Przy drodze zauważyłem płowe łby i twarze polskie. Na ślepkach nazwy i napisy polskie a nawet napotkałem afisz, głoszący kandydaturę Polaka na urząd „szeryfa“ czyli konstabla powiatowego.

W Zagłębiu Scranton Polacy tworzą bardzo poważną siłę polityczną, z którą inni się liczą.

Docieram do stolicy zagłębia węglowego — Scrantonu. Właściwie wciąż jadę przez szereg wiosek górniczych. Domki małe, sklepiki skromne, szkoły i kościoły schludne; polskie twarze, polskie dzieci i rodzinna mowa rozbrzmiewa na każdej ulicy. Spowodu bezrobocia na ulicach wałęsa się dużo młodzieży i ludzi w sile wieku. Czekają „aż się czasy poprawią“, i będą znów z ziemi wydobywali czarny, twardy węgiel.

W muzeum miejskiem w Wilkes Barre, jako drogocenną relikwję, przechowują „rusta“ mały piecyk, w którym pewien miejscowy lekarz po raz pierwszy palił twardym węglem.

Scranton nazywają „stolicą“ Zagłębia. Jako duże miasto przemysłowe, nie ma nic ciekawego dla turysty. Chyba tylko to, że mieści się tu główna kwatery niezależnego kościoła z „biskupem“ Hodurem na czele. Nie tak dawno, niezależnicy obchodzili dwudziestopięciolecie swego założenia. Jak na polską sekte, to i tak dużo.

Na powstanie niezależnictwa w Ameryce złożyło się kilka czynników. Wykolejeni księża i eks-studenci, szukający łatwego kawałka chleba, to jeden, świeccy „mędralsi“ i niedowarzone półgłówki, — dawniej przeważnie „saluniści-karczmarze“, którym się porządki kościelne nie podobały, to drugi. Trzecim czynnikiem — to biskupi obcy, którzy potrzeb wychodźstwa i psychiki polskiej nie znali lub znać nie chcieli! Gdziekolwiek zachodziły nieporozumienia w katolickich parafjach, tam zakładano niezależne parafje. To się wielce przyczyniło do osłabienia wpływów i znaczenia wychodźstwa polskiego. Nieraz najprzód powstawały parafje niezależne, a potem dopiero ajryscy biskupi raczyli się zgodzić na zakładanie polskich rzymsko-katolickich kościołów. Ponieważ jest to temat bardzo drażliwy, więc też zostawiam sprawę innym do gruntownego zbadania i szczegółowego opisu.

Droga ze Scrantonu do Towanda i Waverly, w kierunku północno-zachodnim, jest jedną z najpiękniejszych, jakie dotychczas spotkałem. Prowadzi szczytem wzgórz Alleghany, jakie dwa tysiące stóp ponad poziom morza. Po lewej stronie wije się srebrzystym pasem rzeka Susquehanna. Dolina rzeki wszędzie poszachowana uprawnemi polami i rozrzuconemi po nich zabudowaniami farmerskiemi. Tu i ówdzie mijam piękne miasteczka o nazwach indiańskich jak Tunkhannock, Meshoppen, Wyalusing.

Na jednym z prześlicznych wzgórz, podziwiając cudny krajobraz, zauważyłem pomnik z brązową tablicą. Dowiaduję się, że w dolinie rzeki Susquehanna, w tem miejscu, założyły osadę arystokratyczne rodziny francuskie, uchodząc przed pożogą rewolucji. Znajdowało się w niej sześćdziesiąt domów, młyn do mielenia mąki, browar — to bardzo ważne — kaplica i sklep. Koloniści przypuszczali, że im się uda sprowadzić tu królowę Marję Antoninę i uratować ją przed gilotyną. W późniejszych czasach ksiązę orleański, Ludwik Filip, ostatni król francuski, zwiedził tę miejscowość, po

której dziś nie pozostało ani śladu. Tak rewolucja francuska swe znamię pozostawiła nawet w dziewiczych lasach Pensylwanji.

W Waverly znów przekraczam granicę i wjeżdżam spowrotem do stanu Nowego Jorku, który co tylko wczoraj opuściłem. Jest to bardzo malownicza i historycznie ciekawa część stanu, zwana „Finger Lake Region“. Lodowce zostawiły w niej niezatarte ślady w sześciu głębokich i jak kryształ czystych jeziorach. Nazwy tych uroczych tafli wodnych po polsku wymawiają się jak następuje: Kananigła, Kiuka, Seneka, Kajuga, Ołasko, Skaneateles. Są to nazwy szczepów indjańskich, kiedyś w tych okolicach zamieszkujących. Tworzyli potężną ligę indjańską pod nazwą Iroquois. Posiadali oni wyższą kulturę od innych szczepów. Mieszkali w domach z drzewa budowanych, przytem zajmowali się uprawą roli i hodowlą owoców. Politycznie byli sprzymierzeńcami Anglików, chociaż prawdę mówiąc, „błdych twarzy nienawidzili.

Te dzikie plemiona przysporzyły Kościołowi „pierwszych amerykańskich męczenników“. Jezuici francuscy, na sto lat przed wojną o niepodległość, pracowali wśród tych plemion. Kilku z nich, po okrutnych męczarniach, w tych uroczych okolicach, krew swą za Wiarę przelało. Na każdym kroku napotykać będziemy pamiątki i historyczne wspomnienia o pionierach francuskich, chociaż teraz panoszą się w tych miejscach — Ajrysze.

Największe ze sześciu jezior jest Cayuga — Kajuga. Czterdzieści mil długie, półtorej mili szerokie i czterysta trzydzieści stóp głębokie. Najgłębsze z nich jest Seneka sześćset ośmnaście stóp, a tylko trzydzieści sześć mil długie. Mógłbym podać dokładną statystykę ile i jakie gatunki ryb każde ze sześciu jezior zawiera, ale cóż to pomoże, jeżeli czytelnicy ich łowić nie myślą.

Okolica prześliczna. Rolnictwo, przedewszystkiem hodowla bydła i owoców jest tu bardzo wysoko rozwinięta. Nad rzekami i przy drogach kwitną rzędy wspaniałych akacyj, przyjemną wonią napełniając okolicę. W powietrzu słyhać nietylko śpiew ptactwa, ale brzęk pszczół, które słodki i wonny nektar zbierają do uli, aby cudownym sposobem przeistoczyć go w najdelikatniejsze miody. (*C. d. n.*).

Z życia Zakładowego.

(*Ciąg dalszy*)

O godz. 5 rano w lecie, a o 5.30 w zimie już dzwon się odzywa głosem, który trudno nazwać miłym. W błogiej ciszy spokojnych, nadziejskich marzeń sennych, uporczywe jego brzęczenie wyjątkowo wydaje się nieprzyjemnem. Wtedy właśnie jak na złość dzwoni długo i dokuczliwie, a każde uderzenie bolesnem echem odzywa się w umęczonej duszy skazańca, którego z sennej błogości, z dobrze ogrzanego przybytku rozkoszy, ściąga na chłód zimnej rzeczywistości i trud całodziennych niepokojów. Niestety, pier-

wsze to zaranne powitanie z dzwonkiem nie jest sympatyczne i każdy przechodząc obok niego w zgryźliwym usposobieniu doznanej krzywdy, którą trudno będzie naprawić, spogląda nań z niechęcią, z cichem niewypowiedzianem głośno życzeniem „abyś pękł“ ale dzwon bezradnie wskazuje swoim długim sznurem na zegar, który jakby surowy stróż i przełożony powtarza wieczyście głosem głuchym na wszelkie perswazje „tak, tak, tak to tak.“ Ot, stary grat bez serca. Niema rady. Trzeba pożegnać się z marzeniami, otrząsnąć resztę rozkosznej senności zimną jak lód wodą i corychlej przyodziać swą zbudzoną do rzeczywistości osobowość w codzienną formę opiętą w guziki i sznurowadła, innymi słowy — ubrać się godnie.

W lecie idzie to prędko i bez trudu, ale w zimie proces ten łączy się z dużym udręczeniem. Jest i ciemno i zimno i wszystko robi się dwa razy dłużej. A dzwon nie czeka. Ledwie zegar dwa kwadransy wymierzy, dzwon znowu gwałtuje, jakby się paliło, ale już teraz nie jest taki dokuczliwy. Wyraźnie głos zmienił. Przedtem szczekał zjadliwie, impertynencko, wprost obrażająco, a teraz całkiem spokojnie, tak, że można go słuchać bez gniewu.

Wszyscy w miarę gustu i możliwości wystrojeni spieszą do kaplicy, gdzie już Ks. Rektor regularnie czeka na swoim klęczniku.

Obszerna kaplica zapełnia się szybko. Co chwila drzwi skrzypią, przeciąg wieje, szłapią boscie nóżki, albo stukają solidne na wyrost robione buciężta, szereg klęka obok szeregu w milczeniu wprawdzie, ale w rozruchu zamasytym, udzielającym się od końca do końca, jakby szum wiatru gwałtownego. Aż wreszcie u stropu powały rozebrzmi miękkimi tonami organ, przygłuszy szum i rozhowor, nastroi całą kaplicę na jeden akord melodji i uczucia i wreszcie buchnie na cały dom pieśń staropolska.

„Zawitaj ranna Jutrzenko“.

Po odśpiewaniu dwóch zwrotek pieśni, przewodniczący rozpoczyna pacierze, które chłopcy z nim razem albo naprzemian chórem powtarzają. Po krótkich pacierych następuje rozmyślanie, później Msza św., podczas Mszy św. odmawia się Różaniec do N. M. P. i Litanję. Naostatku kilka krótkich intencyj dziennych i koniec paciery.

Po pacierych bywa rozmaicie. W lecie, a raczej w czasie wakacyjnym gdy niema lekcyj, zaraz jest śniadanie.

W czasie zajęć szkolnych, przed śniadaniem odbywa się przygotowanie do lekcji. Chłopcy siadają w dużym wygodnym refektarzu, otulają się w płaszczki i kurtki i uczą się zawzięcie a w skupieniu. Niektórzy złośliwi z natury usiłują dowodzić, że u wielu zbyt szczelnie otulonych płaszczem, to skupienie zdaleka bardzo wygląda na sen, a nawet, że są chwile, w których słyhać coś, co do złudzenia przypomina chrapanie, ale na podstawie wniosków i rozważań, dochodzimy do przekonania, że absolutnie niema ścisłego obowiązku w to wierzyć. Zresztą wszystko jest jak sen — powiada pewien mędrzec, a inny dodaje, że życie jest snem, a śmierć przebudzeniem, a więc niema o co kwestji robić.

W tym samym czasie kanceliści od mioteł i szczotek wypisują długie elaboraty na posypanych wilgotnemi trocinami korytarzach, sypialniach i pokojach, w kuchni zaś wre praca nad sprawami stokroć ważniejszymi. W kąbach pary i zapachów przyjemnych, uwijają się roje kucharzy, kuchcików i nieproszonych, owszem stale za drzwiami wypraszanych gości. Na refektarz, gdzie właśnie odbywa się studjum, dochodzą tylko przytłumione odległością słowa komendy szefa załogi kuchennej i szcęk naczyń, a każdy słysząc to utwierdza się w jasnej świadomości, że już pora coś zjeść. Z każdą chwilą problem ten staje się aktualniejszym, ważniejszym, tak iż maleją wobec niego zagadnienia matematyki i przyrody, ustępując na plan dalszy, a nawet dość daleki. Jest to taka nieprzyjemna chwila kolizji pomiędzy obowiązkiem a potężnie podrażnionym instynktem głodu, bo to i jedno ważne i drugie. Aby się uczyć, trzeba coś zjeść, aby zaś mieć co jeść, trzeba się uczyć — święta prawda. Z drugiej jednak strony, nauka nie ucieknie, będzie czas uczyć się, jak się coś zje — ba, ale i jedzenie nie ucieknie, nawet po nauce podobno lepiej smakuje; same racje bezsporne i zdecydowane. Jak widać, problem zawily, a ważniejszy niż reguła trzech i wszystkie twierdzenia Pitagorasa i innych greckich mężów. Na szczęście spór cały rozstrzyga dzwon. Tak, on ma rację, chodźmy co zjeść. W tempie błyskawicznym znikają ze stołu paczki, książki, zeszyty, nastrój się ożywia na staropolską nutę „Bogu dzięki“ nareszcie otwierają się okienka w murze, dzielącym refektarz od kuchni w każdym okienku widnieje postać uzbrojonego w potężną chochlę kucharza. Każdy kucharz mierzy badawczem spojrzeniem tłum, jak dobry wódz przed wydaniem decydującego rozkazu, bada nastrój i potęgę wrażenia przez się wywołanego. Wdzięczną się ku niemu uśmiechy i spojrzenia słodkie, bądź pełne powagi i melancholji, a ten tu i ówdzie głową skinie poważnie, tam karząc zgromi spojrzeniem, tu podniesie na duchu znakiem nieznacznym choć wymownym, tam zachęci, tu odstraszy, a wszystko poważnie i dostojnie. W kącie refektarza inny urzędnik kraje chleb na kredensie. Kraje spokojnie, w skupieniu, głuchy na wpływy uboczne. Gwar potężnieje w miarę, jak na stołach dymią już miski, aż wreszcie milknie — króciutki pacierz, gromkie „Amen“ i śniadanie się zaczyna. Najczęściej jest żur albo kasha na mleku i chleb. Każdy dostaje tyle, ile może zjeść, otrzyma po raz drugi i trzeci, dopóki zapas starczy, a najczęściej zapasu starcza. — Przy śniadaniu rozpoczyna się życie towarzyskie.

(C. d. n.)

X.

Za zezwoleniem Władzy Duchownej i Przełożonego zakonnego.

WYDAWCA: T-WO ŚW. MICHAŁA ARCH. W MIEJSCU PIASTOWEM.

REDAKTOR: X. JAN GÓRECKI W MIEJSCU PIASTOWEM.

Drukarnia Towarzystwa Św. Michała Archanioła w Miejsku Piastowem.